



# ILUSTROWANY



# PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę

<sup>w</sup>  
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

27. czerwca 1915

Nr. 29.

Redakcja, administracja i ekspedycja  
Morawska Ostrawa, ul. Johannyego 5.  
Tel. Nr. 163.  
Rękopisów się nie zwraca.

**Cena numeru 20 halerzy**

Prenumerata kwartalna . . K 2<sup>50</sup>

Prenumerata półroczna . . K 5<sup>—</sup>

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,  
 $\frac{1}{2}$  strony — 50 kor.,  $\frac{1}{4}$  strony — 25 kor.,  
 $\frac{1}{8}$  strony — 12<sup>50</sup> h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.

## Z tygodnia.

W ubiegającym tygodniu wojny byliśmy świadkami zaciętych i krwawych walk toczących się na wszystkich prawie frontach.

W Galicji zjednoczone armie niemiecka i austriacka w dalszym ciągu postępują naprzód, prąc przed sobą ustępującą powoli od pozycji do pozycji armię

rosyjską. Ofensywa ta uwydatnia się przedewszystkiem na obydwóch skrzydłach galicyjskiego frontu bojowego. Od strony Przemyśla postępują w kierunku Lwowa zjednoczone armie austriacka i niemiecka i odrzuciły już Rosjan na linię jezior pod Grodkiem Jagiełłońskim, gdzie już raz, na początku wojny obecnej



Marsz wojsk na linię bojową w lasach nad Sanem.





Włoski teren wojenny.  
Miejscowość Riwa nad jeziorem Garda.

toczyła się krwawa bitwa pomiędzy armią rosyjską a austriacką.

Na prawem zaś skrzydle wojsko austriackie — przekroczyło już granicę rosyjską, wtargnęło do Besarabii w pobliżu granicy rumuńskiej i zagraża rosyjskiej twierdzy pogranicznej, Chocimowi, znanej z historii wojen, które przed wiekami Polska staczała w tej okolicy z Turkami.

Gdy na wschodzie są armie niemiecka i austriacka stroną atakującą, pozostają na frontach francuskim belgijskim i włoskim w defenzynie, odpierając zaiste ataki Francuzów, Anglików, Belgijczyków i Włochów. Dotychczas ofensywa francusko-angielska na wschodzie w stosunku do olbrzymich wysiłków, mały miała skutek. Wszędzie prawie front niemiecki pozostał niewzruszony, cofając się zaledwie tu i owdzie o kilka albo kilkanaście set metrów.

To samo można z drobnymi zmianami powiedzieć i o położeniu wojennym na pograniczu włoskim. — I tutaj ofensywa włoska decydujących rezultatów dotąd nie wydała. Walka toczy się wszędzie dalej.

Z Sytuacji polityczno-wojennej zasługują na uwagę doniesienia, że Serbowie i Czarnogórcy, zamiast atakować, jak się tego spodziewano, granicę austriacką od południa, zwrócili się w stronę przeciwną, wkroczyli do Albanii, zajmują jedno miasto albańskie po drugiem i kierują się w stronę morza, chcąc widocznie, uzyskać tak bardzo upragniony przez Serbow dostęp do morza, a przez utworzenie Albanii uniemożliwiony. Informacje, jakie o tej akcji serbsko-czarnogórskiej w Albanii nadchodzą, są dość sprzeczne. Jedne głoszą, że Serbowie chcą przez to uniemożliwić Włochom zajęcie różnych terytoriów albańskich, któreby Włosi chcieli zagarnąć do siebie, co wywołuje oburzenie przeciw Serbom we Włoszech; inne wieści natomiast opowiadają, że Serbia działa tutaj w porozumieniu z Włochami i chce sobie tylko przez zajęcie terytoriów albańskich zapewnienie tyłu, by uchronić się od ewentualnego wtargnięcia band albańskich do Serbii.

Wogóle przykuwał Błakan w ubiegającym tygodniu uwagę całego świata politycznego do siebie. Wszystkie państwa bałkańskie dawały do tego temat pierwszorzędny.

W Grecji kwestyą pierwszorzędnego znaczenia były odbywające się w niedzielę wybory do izby poselskiej, które miały rozstrzygnąć o tem, jakie stanowisko zajmie Grecja w przyszłości wobec konfliktu europejskiego. Wybory wypadły wbrew oczekiwaniu na niekorzyść obecnego pokojowego stanowiska rządu, a na korzyść zwolennika interwencji zbrojnej po stronie trójporozumienia, byłego prezesa ministrów Venizelosa, — który musiał z urzędu swego ustąpić, ponieważ nie zgadzał się w swych zapatrywaniach z królem. Obecnie, uzyskawszy olbrzymią większość w parlamencie, powróci prawdopodobnie niezadługo do władzy, choć pytanie, czy będzie mógł zaraz swe poglądy w czyn zamienić.

Ne maizna też pominąć drugiej noty amerykańskiej, doręczonej pod koniec ubiegłego tygodnia rządowi niemieckiemu w sprawie zatopienia „Lusitania” i dwóch okrętów amerykańskich. Nota ta jest nadzwyczaj grzeczną i uprzejmą, ale domaga się stanowczo spełnienia żądań amerykańskich, wyrażonych w pierwszej nocie, by życie obywateli amerykańskich było uszanowane, choćby oni podróżowali nawet na nieprzyjacielskich okrętach handlowych i by amerykańskie okręty mogły bezkarnie pływać nawet w pasie ogłoszonym przez admiralicję niemiecką za pas wojenny. Twierdzenie rządu niemieckiego, jakoby „Lusitania” miała być uzbrojoną, jakoby wiozła wojska kanadyjskie i amunicję, co usprawiedliwiałoby jej zatopienie, rząd amerykański stanowczo zaprzecza.

Tak tedy ostatnia nota amerykańska zatargu nieęmiecko amerykańskiego ani o krok jeden nie posunęła naprzód Rząd niemiecki na notę tą jeszcze nie odpowiedział; prasa zajęła wobec niej stanowisko różne, często biegunowo przeciwne. Gdy jedna część prasy uważa notę za wprost wyzywającą, druga część widzi w





### Włoski teren wojenny.

Najdalej na południe wysunięta miejscowość tyrolska Torbole nad jeziorem Garda.

niej wiele momentów pojednawczych, które bynajmniej nie wykluczają możliwości załatwienia zatargu nad drodze pokojowej.

Tak tedy i ta kwestya jest sporną; należy więc czekać, jakie zajmą wobec niej stanowisko koła miarodajne.

W ostatniej chwili po zamknięciu numeru otrzymujemy radosną wiadomość o odzyskaniu Lwowa. Omówienie tego pierwszorzędnej wagi zdarzenia pozostawiamy sobie do następnego numeru.

## Uroczyste poświęcenie pomników dwóch gener. polskich.

Niezwykła uroczystość odbyła się przed tygodniem w Poznaniu. W kościele św. Wojciecha poświęcono pomniki dwóch generałów polskich, Amilkara Kosińskiego i Michała Sokolnickiego. Poprzedziły poświęcenie msze żałobne, które odprawili za duszę ś. p. Amilkara Kosińskiego, wnuk jego ks. prob. Zakrzewski z Golejówką, za duszę ś. p. Sokolnickiego ks. proboszcz Kościelski od św. Wojciecha. Podczas obu mszy św. amatorzy soliści i solistki wykonali przepiękne pieśni i duety kościelne. Po odprawieniu mszy św., ks. proboszcz Kościelski w otoczeniu kilku duchownych, dokonał poświęcenia pomników. Pomnik generała Amilkara Kosińskiego, wykuty jest w białym marmurze i przedstawia postać jego w płaskorzeźbie. Dzieło to wykonał niezrównanie, znany zaszczytnie rzeźbiarz wielkopolski, twórca wielu wspaniałych prac, Marcinkowski. Podpis pod płaskorzeźbą brzmi, jak następuje:

#### AMILKAR RAWICZ-KOSIŃSKI

generał dywizyi, współtwórca Legionów. — Urodził się w ziemi Drohickiej 1769 r. — Umarł w Targowej Górze 10-go marca 1823 r.

Na drugim pomniku, zdobnym w godła wojska polskiego, a wykonanym według projektu architekta pana Rogera Sławskiego, umieszczono napis następujący:

#### MICHAŁ SOKOLNICKI

generał wojsk polskich, dowódca pułku strzelców we wojnie Kościuszkowskiej, adiutant generała Kniaziewicz. Pierwszy bohater we wojnie przeciw Austriakom 1809. Oficer sztabu cesarskiego we

wyprawie na Moskwę. Dowódca jazdy polskiej w bitwie pod Lipskiem. Autor wielu dzieł historycznych. — Urodził się 1760 r. we Wielkopolsce. Umarł podczas parady na Saskim placu 23. 9. 1816.

Publiczność tak z Poznania jak i z prowincyi, stawiała się na tę uroczystość, która miała przebieg poważny i pogniosły bardzo licznie. Towarzystwo przyjaciół Nauk reprezentowane było przez prezesa wydziału historyczno-literackiego prof. dra Karwowskiego, dra Erzepkiego i kilku członków. Oba te pomniki ufundowane zostały przez potomków zmarłych generałów.

Podajemy z powodu poświęcenia tych pomników krótkie życiorysy obu generałów, których czynny udział się dobrze w dziejach naszych porzecznych.

Amilkar Kosiński, generał polski, urodzony 1769 roku na Litwie z ojca Józefa i matki Reginy z Korseków, należał do rodziny Kosińskich herbu Rawicz osiadłej od dawna w ziemi drohickiej. Polecony opiece możnych krewnych, przy ich pomocy odebrał Kosiński bardzo staranne wychowanie. Karol Prozor polecił mu urząd sekretarza i użył go w roku 1793 do przygotowania powstania na Litwie przeciw Moskalom.

W powstaniu 1794 jako kapitan pułku strzelców Węgierskiego odniósł ranę przy oblężeniu Warszawy. W roku 1795 wyjechał do Włoch i po 5-miesięcznej służbie na okręcie korsarskim francuskim przyjętym, został do armii francuskiej w stopniu kapitana. W roku 1796 odbył całą kampanię z Napoleonem I. a w roku 1797 został szefem pierwszego batalionu Legionów polskich; 1798 otrzymał stopień pułkownika i szefa sztabu jednej legii; 1799 dostał się w Mantui do niewoli au-





**Dziś a dawniej.**  
Część miasta w Dixmuiden przed i po wojnie.

stryackiej; wypuszczony po roku na wolność, wrócił na dawne stanowisko. Widząc zawiedzione nadzieje po traktatach pokojowych w Luneville 1801 i Amiens 1802, wziął 1803 dymisję w stopniu generała brygady wrócił do kraju i niedługo potem osiadł na dzierżawie w Poznańskim. Z powodu wypadków 1807 roku powołany do służby, dowodził w kampanii 1807 brygadą w dywizji Dąbrowskiego. W wojnie 1809 odparł Austriaków z okolic Strzelna i Inowrocławia aż po Bzurę; następnie był komendantem Warszawy, a potem wróciwszy na linię bojową stoczył pomysłną utarczkę pod Żarnowcem, co ułatwiło Polakom zajęcie Krakowa. Osiadłszy na wsi, ożenił się powtórnie z hrabianką Keyserling, dziedziczką dóbr Targowa Górka. Jako generał dywizji w wyprawie 1812 roku przeciw Moskwie zostawał pod rozkazami Schwarzenberga. Za powrotem z Rosji wziął dymisję i osiadł stałe 1813 roku w Targowej Górze. Łudzony nadziejami utworzenia korpusu narodowego, przyjął służbę jako przysięży jego dowódca w wojsku pruskim; zawiedziony jednak w tym względzie, usunął się z wojska 1820 roku i umarł w roku 1853 w Targowej Górze. Był to człowiek wysoko wykształcony, charakteru niezlomnego i prawnego, ale mało dla ogółu przystępny. Oprócz artykułów oryginalnych i tłómaczonych w *Mrówce poznańskiej* lub *„Tygodniku polskim”*, wydał osobno: *Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich* dzieło pełne zdrowych, pięknych myśli. Syn jego Władysław wydał z rękopisu tłómaczenie z Włoskiego „*Rzymianie w Grecji*” nadto „*Zbiór korespondencji Anilkara Kosińskiego od roku 1815—1820*”, które to korespondencje dotyczą formacji wojska narodowego. Pamiętnik o legionach polskich zaginął.

Generał Michał Sokolnicki urodzony w r. 1760 w województwie poznańskim, ukończył szkołę kadetów w Warszawie i dał się poznać z swej biegłości w fizyce i matematyce.

W roku 1787 wezwany został jako profesor topografii wojskowej w Wilnie, następnie wysłany został kosztem rządu za granicę, a po powrocie był nauczycielem Józefa Sułkowskiego. W stopniu podpułkownika odbył kampanię 1792 r. Później walczył pod Dąbrową i Wielkopolsce i zasłaniał odwrót szczątków armii między Warszawą a Krakowem. Wzięty do niewoli, przesiedział czas jakiś w Petersburgu, skąd przeszedł do Francji i zaciągnął się pod dowództwo Kniaziewicza. Do kraju wrócił po bitwie pod Jeną i zorganizował wojsko polskie walczył pod Gdańskiem i innymi miastami. Kiedy w roku 1809 Austriacy kraj zajęli, Sokolnicki walcząc z nimi, uzyskał sławę. Najznakomitsze jego zwycięstwa były pod Górą i Sędziejowem. W r. 1810 mianowany generałem dywizji, wezwany został do Paryża, jako członek akademii umiejętności instytutu francuskiego. Następnie odbył zaszczytnie kampanię 1812 roku a za królestwa wrócił do kraju odprowadzając zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego. W r. 1816 podczas przeglądu wojsk na Saskim placu dzięki koni, uniósłszy go, rozstrzaskał mu głowę i Sokolnicki umarł na miejscu.

(„Wielkop.”)



Stanowisko obserwacyjne na wysokim drzewie.



## Wieczorem.

### I.

Słońce dogasa krwawo na gór grzbiecie,  
siejąc po niebie kolorami tęczy;  
ostatni promień na siatce pajęczej,  
złote niteczki, wśród, gałązek plecie.

Świat milknie zwolna, niby senne dziecię,  
tylko gdzieś komar monotonnie brzęczy,  
tylko wiatr cichy od górskiej przełęczy  
zaszemyrze, lecąc przez trawy i kwiecie.  
Czasem błękitem przemknie chyżo wrona;  
głośne krakanie uderzy o uszy,  
ścichnie i echem u ścian lasu skona.

Dokoła cisza, — lecz niema jej w duszy;  
wiecznie ją mąci, jakaś pieśń żaloby,  
majaczą krzyże mogiłne i groby.

### II.

(L A S).

O błękit nieba oparłszy korony,  
stały sosny w wieczoru zadumie:  
Cichy szepc idzie po ich zwartym tłumie,  
u wrót tajemnie wszechbytu zrodzony.

Z wiatrem przyleciał od zachodniej strony  
i gwarzy o czymś w sennych drzew poszumie,  
tak tajemniczo, jak on tylko umie,  
ów szepc modlitwy dziwny szepc, wyśniony.

O cichy w mroku zadumany lesie,  
najpotężniejszy kościele natury,  
pełen modlitwy, co z twych koron rwie się,  
ułata hymnem odwiecznym do góry,  
tyś wielki ciszą mroków swego cienia,  
wiekowy starcze i sędzio sumienia...

Czerwiec 1915.

Józef Giałuszka.



Wybuch pocisku 42 cm.

## Drobne wiadomości.

**Utrudniony powrót wygnańców polskich do Galicyi.** Gazeta czeska „Selske Listy“ podaje ogłoszenie komendy krakowskiej o warunkach powrotu wygnańców wojennych galicyjskich do kraju. Podług ostatnich przepisów pozwolenia na powrót udziela obecnie jedynie wiedeńskie ministerstwo spraw wewnętrznych i należy pozwolenia takiego żądać w każdym pojedynczym wypadku osobno. Wspólnych żądań całych kolonii polskich na ziemiach czeskich lub morawskich nie przyjmuje się zasadniczo. Poza tem zwraca się wygnańcom specjalną uwagę na to, iż sposób załatwienia odnośnych podań w Wiedniu ma zwykle dość powolny przebieg. Wobec tego wygnańcy galicyjscy, pragnący powrotu do ojczyzny, powinni z góry liczyć się z niemałemi trudnościami i nie zdradzać zbyt częstego zniecierpliwienia.

**Prorocтва pokojowe.** W „Nowinach Wiedeńskich“ czytamy:

W Konstancyi nad jeziorem Badeńskim — opisuje „Frankfurter Zeitung“ w jednym z ostatnich numerów — miał się zdarzyć wypadek następujący, którego echo żywo obiega teraz po całych Niemczech południowych i Szwajcaryi.

A mianowicie na wiosnę roku przeszłego sąsiedzi zauważyli, że syn



Francuski kawalerzysta obserwuje ruchy wojsk niemieckich.



dzieć, że coś się popsło w maszynie, w szezczarni, że jakiś sprych źle chwytą. —

— Niech tylko kogoś nie pociągnie, której z podających dziewcząt! — zawołał p. Andrzej niespokojnie, żywo wstając od stołu. — Połóż się i prześpij — rzekł do syna. — Zmęczony jesteś...

Stanisław chciał odpowiedzieć, że pójdzie do siebie przebrać się, ale nagle coś go oniemilo, jak gdyby ściśnięcie za gardło. To do siebie, znacząco dwa pokoje na górze w facycie od ogrodu, które były jego pokojami od czasów szkolnych. Niegdyś służyły jak gościnne, ale gdy skończywszy czwartą klasę, przyjechał do domu, znalazł je urządzone dla siebie staraniem matki, przeciw w skutec dyspozycji ojca. — Już z dziecka wyrósł na chłopca i trzeba usamowalniać go powoli — rzekł do żony. — W Rzymie zmieniano młodzieży suknie w biegu lat i dobra to zasada pedagogiczna; trzeba czuć od młodu, że się przebywa wschody życia, bo uczy to czuć, że czas płynie... Wskutek tego Staś przyjechawszy z Radomia po skończeniu czwartej klasy, został panem górnego piętka, które matka upiększyła jak mogła i gdzie ojciec ustawił sam biurko do pisania, i wstał szafę z książkami.

Jak je starannie dobierał! Jak starannie przemysłował wszystko w wychowaniu syna. Widział w nim swego następcę na tym kawałku starego gruntu, który mu był drogim, jak życie.

Stanisław od lat tylu tak uważał pokoje na górze za należące do niego, że teraz mechanicznie byłby się skierował na wschody, które tam wiodły, jak mechanicznie byłby powiedział ojcu, że pójdzie do siebie, gdy nagle zatamował mu się głos w piersiach. Czyż on już mógł nazwać tu cośkolwiek swoim? — Czyż już mógł powiedzieć o którymkolwiek kącie rodzinnego domu, że jest u siebie?

Pan Andrzej oddalił się prędko a syn pozostał sam z tem gorzkim uczuciem wydziedziczenia. Trzeba mu było rzeczywiście spocząć, bo czuł się wyczerpanym nad siły, ale opanowały go teraz niepokój smutny — nieśmiałość. Gdzie miał się zwrócić? Może pokoje na górze były zamknięte i czyż miał zawołać na lokaja, by mu wskazał, gdzie jest miejsce przygotowane dla niego?

— A... — rzekł z goryczą i żalem niewymownym — zgłowałem sobie nie miękkie łóżko życia...

Ale Jakób był od tego, aby czuć nad panem swoim. Skoro tylko p. Andrzej wyszedł, on zaraz wsunął się do Stanisława: — Niechno pan pójdzie położyć się i prześpać — rzekł. — Starszy pan będzie tam miał nie godzinę roboty. Wyleciała jakaś mutra i bogdaj czy się nie skręcił walec; posłali na wieś po kowala i niech pan idzie na górę klasz się zaraz. Tak pan źle wygląda, że aż strach patrzeć...

Dziwnie rozczulające wzruszenie ogarnęło Stanisława. Więc on tam jeszcze będzie dziś spał, na tem łóżku, które mu ustawiła matka?...

Szedł za Jakóbem, który wziął jego saczek podróżny i jak gdyby torował mu drogę. Zastał też drzwi już otwarte przed sobą: stare ściany witały go gościnie i było w nich wszystko po dawnemu. Nic się tu nie zmieniło, prócz w nim...

Jakób już mu naszykował wodę na wielkiej miednicy. Potrzeba mu też było chłodnej wody, aby zanurzyć w nią bolącą głowę, aby nią pryskać w palące, piekące go oczy. Chciwie się rzucił do tych ablucy, zmęczył się niemi i potem zmęczony cisnął się na rozebrane już też łóżko, ale wicrzchem na koldrę. Nie myślał spać, nie myślał się okrywać, trzeba mu tylko było odpocząć, oh! odpocząć...

Ale nie upłynęło i dziesięciu minut, a już oczy mu się zamknęły i usnął twardo, jak kamień. Jakób zasnął uważnie

rulety, zapuścił firanki, które kiedyś matka usunęła dla syna. Nie były to już te, oceniające niegdyś mocny sen chłopca, któremu śniły się koniugacje łacińskie; lecz gdy miał wracać z zagranicy matka na krótko już przed śmiercią sprowadziła z Warszawy i ustawiła na górnym jego piętka nowe, piękne, miękko wysłane meble, zostawiając z dawnych tylko sprzęty pamiątkowe i wieszając firanki, na które padła niejedna jej łza. Wyszły one, ulotniły się w powietrzu i Stanisław wnic nie wiedział o nich, jak się lały cicho i boleśnie, ale duch macierzyński przyszedł tu może teraz przez łez tych zakłęcie i bronił, aby zmęczone jego oczy nie drasnął ani jeden promień słońca i wyczerany spał też bez przebudzenia żadnego do godziny piątej.

Gdy się ocknął wreszcie i otworzył oczy, stało się z nim tak, jak bywa nieraz po śnie podobnie mocnym: nie wiedział, gdzie się znajduje, ale Jakób nasłuchujący w pierwszym pokoju każdego jego ruchu, zjawił się zaraz i zaraportował, która jest godzina i to, że pan starszy, który najmocniej zakazał go budzić, już zjadł obiad. Na wsi ludzie gospodarni, wstający rano, jedzą go w godzinach południowych, dających wypoczynek wszystkiemu dokoła: robotnikowi, który od świtu znoił się na zagonie i zwierzętom, które wespół z nim pracowały. Pański szyk zmienił gdzieś niegdyś ten dobry obyczaj stary wspólności z otoczeniem swoim, ale w starowiejskim dworze utrzymał on się dotąd i p. Andrzej zrobił tylko dziś wyjątek dla syna, o którego w sercu był bardzo niespokojny i silnie stroskany. W myślach swoich o nim wyobrażał sobie, że Stanisław, jeżeli rzeczy lekko nie przyjmie, jeżeli sercem jest jeszcze związany z przeszłością i domem rodzinnym, uczyni jakiś krok, który mu przebaczyć pozwoli, który da nawet pierwszy początek powrotowi jego do domu. Więc też teraz uczył się silnie dotkniętym, spotkawszy się z dumną rezygnacją syna. Że przecież nie była to obojętność, widział po zmienionej twarzy Stanisława.

Lecz cóż zatem? Jeżeli to była duma, to czyż winowajca może myśleć, że ma prawo do dumy?

Przytem to był syn, a on ojciec. Choćby paść do nóg rodzicielskich, choćby te nogi całować, to nie wstyd jeszcze, nie upokorzenie!... Przypominał sobie, jak on niegdyś całował różowe nozeta dzieci, którą mu przynosiła młoda żona, gdy wracał do domu uznojony. O, jak on je całował, jak całował każdy paluszek maluchny! Przypominał to i walczył ze wzruszeniem. Stanisław powinien był, przyjechawszy, przypaść mu do kolan; inaczej nie mogła nastąpić żadna zmiana w ich wzajemnym położeniu.

Ale widać nie uznawał on, że nędzne trwonienie grosza było grzechem, było występkiem przeciw najświętszym obowiązkom uczciwego obywatela, przeciw najświętszym obowiązkom względem starego gruntu, na którym wyrósł.

Tak! Stanisław nie uznawał tego, skoro się zaciął hardo... Ale i on, oćciec, to potrafił i dla tego właśnie, że ojciec... Bóg dał ludziom głowę wyżej od serca i uczucie, musi też stać niżej wobec obowiązku.

Mówił to sobie rozgoryczony, zirytowany, ale mimo to wszystko nakazał służbie, aby wokoło dworu było, jakgdyby makiem zasiał, a kucharzowi zadysponował, aby trzymał w pogotowiu obiad dla młodszego pana. Że zaś chciał, aby był świeży, dodał jeszcze do dyspozycji, aby wstawiono coś na rożen, skoro tylko Jakób powie, że p. Stanisław się obudził — ale coś smacznego.

Nie była to para zwierzyny. Kurczęcia nie chciał Stanisław jeść rano, więc nie wiedział, co miał dysponować:

— Coś smacznego... — powtórzył — coś delikatnego, bo młodszy pan nie zupełnie zdrow...



— Chyba perliczkę, proszę jaśnie pana — odparł kuciarz Jacenty, też dawny sługa i biorący to również do serca, aby Stanisław zjadł »coś smacznego«...

Stańło na perliczce i Jakób donosił teraz o tem Stanisławowi.

— Starszy pan sam dysponował — objaśniał. — Dałem znać, skory tylko pan nogą trącił o krzesło i wsadzili już na rożen, pieczone się...

Przyniósł mu potem obiad na górę, nie puszczając młodszego lokaja za pomocą argumentu, że już to młodszemu panu, to on tylko służy. Stanisław nie miał nic w ustach od wyjazdu z Warszawy, gdzie też nie miał szczególnego apetytu i zapach potraw obudził w nim głód instynktownie.

— Zwierzęta jesteście — rzekł sobie, ale obiad zjadł.

— No, tak, to dobrze... — pomrukiwał Jakób, zmieniając talerze. Nalał mu i podsunął kieliszek, wina, a przy czarnej kawie doniósł, że przyjechali goście.

— Starszy pan Wolski z Zakrzywia, pamięta pan? Ale jest z nim jeszcze ktoś, ktoś, wart, aby pan też zeszedł na dół...

Stanisław potrząsnął głową przecząco, ale goście byli mu prawie na rękę, bo oddalało to chwilę spotkania z ojcem. Serce miał głęboko rozdarte i bolące, jak jedna rana, a p. Andrzej dobrze określił to, co się z tym bólem łączyło... zaciął się...

Zaciął się z żalu, z goryczy... Wyobrażał sobie, że ojciec wyrzucił go już całkiem z serca, że przestał go już kochać zupełnie.

Przyznawał mu poniekąd słusność. Czuł, że nie był takim, jakim być powinien, że nie przynosił ojcu pociechy. Słabość swoją, nędzę swoją moralną znał i gardził nią — gardził sobą, ale któż podał rękę błądzącemu, jeżeli nie rodzice? O!... gdyby matka była żyła...

Wiel, wiele rzeczy byłoby poszło inaczej. Już za powrotem z zagranicy byłby inaczej postępował, nie byłby wyjechał z domu. W ojcu, który sani był zawsze silnym, mocnym, jak z jednej sztuki, odgadywał, odczuwał wzdarcie względem siebie usposobienie. Czy to było prawdą, a nie widmem karzącym, które zawsze prześladowało ludzi, którzy źle postąpili i czują wstyd tego w sumieniu swoim, nie badał nigdy. — Jest wyższym, lepszym odemnie, może ze szlachetniejszych pierwiastków ulanym, ale czyż można sądzić wszystkich bezwzględnie, ważyć na szali jednej zasady? myślał z żalem ciężkim i wtedy, gdy wyjeżdżał z domu i teraz, kiedy do niego wracał wydziedziczony.

— Nienawidzi mnie już tylko, widzi we mnie nic i słabość jedynie... — powtarzał sobie przez całą, długą noc bezsennej podróży, a duma wrodzona mu, która została ułtą, zaraz skoro się spotkali, zbuntowała mu serce żalem zaciętym. Gdyby przecież nie szło tu o majątek, o pieniądze, nie byłby jednak tak się postawił wyniośle, tak się zamknął w chłód, niby spokojny.

— Choć jestem gracz, choć ludzie nazywają mnie szulerem i taksują odpowiednio, ojciec musi się niemniej przekonać, że interes nie powoduje mną nigdy — myślał w rozżaleniu i gdyby był miał w tej chwili sto tysięcy, milion dukatów w złocie, należących do niego, byłby je jedynym zamachem rzucił w ogień, w wodę i widząc, jak się topią, byłby dopiero podniósł głowę i patrząc w twarz ojcowską zwycięsko, byłby mu rzekł wyniośle: »Patrz ojcie, że podłym nie jestem«...

Dlaczego on się stał graczem? Nie mając w piersiach nikczemnej chciwości złota, nie łaknąc go dla zbytku, dla używania, dlaczego rozbudził w sobie tę nędzną namietność? Wzruszenia... O nie było w nim powagi, siły charakteru ojcowskiego, aby mógł ostać się w życiu o spokojnej, uczciwej pracy i potrzebował upojeń...

haczyszu... Może w innych czasach — w czasach oratorów, rydery?... Ale nie! był słabą, nerwową, niemiecką naturą, którą sam gardził — był w mocy szatana, który niweczył w nim jednym swym podmuchem najświętsze postanowienia i pchał do zguby...

Widział się nędzarzem moralnym i zaczął żałować, że nie umarł wcześniej, wtedy, kiedy był młodym chłopcem, który tu w tym samym pokoju śnił o przyszłości swojej sny szlachetne i wysokie. Oczy jego, rozglądające się dokoła ze smutnem rozżaleniem, padły na fortepian, stojący pod ścianą — piękny, doskonały instrument, sprowadzony tu także przez matkę, gdy nauczyciele ogłaszali w nim wielki talent. — Może i był, jak było w nim wiele rzeczy, które zatracił, zmarnował i uczuł nagle niewypowiedzianą tęsknotę do położenia rąk na klawiszach, które by mu odpowiedziały tonami, płynącymi w jego piersi. Ani pomyślał, że go kto słyszeć i słuchać będzie; gość o którym mu doniósł Jakób, był dla niego zwłaszcza w tej chwili osobą tak obojętną, że wiadomość słyszana puścił mu uszu i tak o niej zapomniał, jak nie pamiętał o wszystkim innem, co mogło dziać się kiedyś na świecie. Z tliwym zwrotem myśli na swoją piękną wiosnę życia, otworzył fortepian i bez żadnej naprężki powziętej myśli zaczął grać Marsz Żałobny Szopena.

Szopen był najmilszym jego mistrza: uczuciowość i razem słabość, miękkość natury Stanisława, kazała mu go kochać, najpierw przez tęsknotę jego poetycznej natury młodej, potem przez żal i smutki upadków, które targwały mu serce wyrzutami i gnioły upokorzeniem. Wszystko to było w nim teraz spotęgowane i palce jego uderzały jakgdyby w serce własne — odpowiadały mu też głosy, jakgdyby serca — własnego.

Wtem ktoś zapukał do drzwi, które otworzyły się prawie zaraz i na progu stała wysoka chuda postać w granatowej czamarce: stary kapitan Wolski, uśmiechający się do zmieszanego i wstającego od fortepianu młodzieńca, pocziwym, życzliwym uśmiechem. —

— 'A Stasiu kochany, jak ty grasz... jak grasz... aż serca się rwą, a nawet takie stare, jak moje — rzekł kładąc mu poufale rękę na ramieniu. — 'Zajrzałeś — przecież do nas, ale ojciec powiada, żeś pono chory... 'A pohladeś trochę, zeszczuplałeś...

Stanisław tłumaczył się niespaną nocą, pilną robotą, jaką miał w ostatnich dniach przed wyjazdem, ale stary głową kręcił.

— Poco tobie miasto? Wierz staremu, że wśród swoich kątów najlepiej, najzdrowiej, a nawet powiem najbezpieczniej. Ja com się natulał dość po świecie — ja to wiem...

Kapitan ten pono węgierski i bodaj czy nie instruktor u Turków, mógł tu mieć rzeczywiście prawo głosu i porady. Próbuąc szczęścia Bóg wie gdzie, grząc się Bóg wie u jakich ognisk nadziei wrócił już po opadłym kwiecie w strony rodzinne, gdzie miał siostę zamezną, a u niej schędkę niewielką, ze spadku po rodzicach przypadającą.

Postanowił wziąć za nią dzierżawę i odświeżając wspomnienia młodości gospodarować na niej, ale za nim się znalazła, i świętojański termin jej objęcia przyszedł, sąsiedzi ożenili go z młodą, pocziwą dziewczyną, która miała serce, uważające sobie za obowiązek pokochać go, i wioseczkę zaciszną, właśnie o miłość od starej wsi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## Podczaszanka.

### Obrazy z przeszłości

5) napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński

Tymczasem zbliżały się wypadki groźne: nad Polską zawisły ciężarne chmury, mające się niebawem skroplić w deszcz krwawy i zalać krwią i ogniem nieszczęsną krainę. Po zdobyciu Torunia wyjechał Napoleon z Poznania do Warszawy i jeszcze z Kutna, którego jechał do stolicy, zawezwał Dąbrowskiego po świeże rozkazy, aby pomagał w organizacji wojska świeżomianowanemu »dyrektorem wojny«, księciu Józefowi Poniatowskiemu. W Warszawie, dzięki pomocy doświadzonego wodza i przy ogólnej ofiarności obywateli, organizacja szła szybko, zwłaszcza, że Dąbrowski powołał z Włoch swoich legionistów »północnych« na oficerów i instruktorów — tych dzielnych wiarusów, którzy się zaprawiali w bojach, pod takimi wodzami, jak Bonaparte, Championnet, Moreau, Kleber, Davoust, Kniaziewicz i nasz waleczny generał. W pałacu Kosowskich ćwiczyła się młodzież w wojennym rzemiośle; między oficerami i instruktorami spotykamy ludzi chlubić w boju odznaczonych, a mianowicie: generałów Biegańskiego, Hornowskiego, Kosseckiego, Żółtowskiego, Stuarta i smutnej później pamięci Roźnieckiego; z oficerów sztabowych: Kamińskiego Jana, Krasieńskiego Izydora, Górskiego Antoniego, Żymirskiego, Grabowskiego, Bogusławskiego, Redla, Sierawskiego, Kamienieckiego i Kęszyckiego — nie dziw więc, że przy takich przewodnikach stawały dzielne zastępy, które później we wszystkich bojach Odysei Napoleońskiej okryły się nieśmiertelną sławą. Ale opuśćmy raczej przygotowania wojenne, zostawmy Napoleona z armią, maszerującą do Okunina nad Narwią, zwyciężając nieprzyjaciół pod Czarnowem i Pomiechowem 23. grudnia; zapomnijmy o gwarze wojennym, o odgłosie przytłumionym bębnow i przeciągłym dźwięku sygnałowych trąbek; rzućmy zasłonę na tę całą wrzawę obozową, i udajmy się do Smigła, w ten cichy, wiejski zakątek, którego mieszkańcy, dalecy byli od pola walki przestrojenia, ale bliscy sercem.

Smutno było i cicho w starożytnym pałacu w Smiglu. Od owego pięknego balu w Poznaniu, na którym podczaszanka Chłapowska poznała generała Henryka, kiedy jej przyrzekł uwolnienie brata minęło siedem tygodni, a dotąd nie miała rodzina Chłapowskich o losie Stanisława żadnych wiadomości. Pan Ksawery jako członek komisji wojewódzkiej, musiał być bezustannie czynnym i prześiadującym w Poznaniu, rzadko kiedy odnosząc kobietom o sobie, bo taki był nawet zajęcia, taki ogrom pracy, że nawet i czasu nie starczyło, aby pisać listy. Zdawa tylko dochodziły głucho wieści o rozgrywających się na polu walki wypadkach; słyszano, że generał Dąbrowski ciągle przy boku cesarza, innym razem, że z Poznania do stolicy wyprawionym został, to znów, że gromadzi pod Łowiczem hufce: stracono więc nadzieję uwolnienia podczaszycy, sądząc powierchownie, że przy takim zajęciu czasu, przy ciągłej prawie zmianie miejsca, w bezustannym ruchu, bez chwili spokoju ani odpoczynku, przy innych ważniejszych myślach na głowie, mógł generał zupełnie zapomnieć o balu, o podczaszance i o notatkach w swoim pugilaresie. Cóż bowiem łatwiejszego dla człowieka, który miał tyle tysięcy ludzi na głowie tyle projektów i planów w u-

myśle względem całego narodu, obarczonego tylu rozlicznymi interesami, jak zapomnieć o jednej, jedynej istocie? Podczaszy Chłapowski, który z Poznania do Smigła przyjechał, chociaż rozpromieniony powodzeniem sprawą, to przecież unikał rozmów z kobietami, kryjąc głęboką smutek i odwracając oczy, w których łza błyszczała. On bowiem nie wiedział nic o losach syna, a jakkolwiek widywał generała na sesjach, to przecież wobec ważności interesów publicznych nie śmiał występować z osobistą sprawą. Zdobył się nareszcie na tyle odwagi, że poszedł do kwatery generała, by go zapytać o los Stanisława, lecz niestety przybył za późno, generał wyjechał z pośpiechem do Warszawy, na rozkaz cesarza.

Smutną więc była rodzina Chłapowskich, kiedy się zbliżyły Święta Bożego Narodzenia, te święta wesołe, białą śniegu odziane sukienką, które tak radośnie obchodzimy wszyscy, kiedy się kupimy w gronie rodziny i przyjaciół, łamiąc się opłatkiem z życzeniem „Dobrego Roku“, ciesząc się, że „wesoły nam dziś dzień nastał.“

W Smiglu był dwór huczny, zamożny i pański. To też rodzina Chłapowskich obchodziła święta według starej tradycji bardzo uroczystie, gromadząc koło siebie tak bliższych jak i dalszych krewnych, liczne grono przyjaciół i zwykłych wówczas rezydentów. I zawsze było tu gwarno i wesoło; jakże miało być inaczej, — kiedy wszystko sprzyjało zacnemu domowi, kiedy wszystkich łączyła życzliwość i miłość wzajemna? A dzisiaj... smutno pomyśleć... wigilia nadchodzi, trzeba chyba próżne przy stole miejsce pozostawić tam, gdzie zazwyczaj zasiadał najbliższy serca rodziny, bo niema tego Stasia który wszystkich rozweselał młodzieńczym dowcipem, który był największą nadzieją rodziców, który jako wzór przymiotów stawiany był na przykład sąsiedniemu młodzieży, a dzisiaj dźwiga okowy niewoli!

W dzień wigilii roku pańskiego 1806, było burzliwie na świecie, tumany śniegu zaciemniły widnokrąg tak, że już wcześniej ściemniać się zaczęło; podczaszy zadumany przesuwiał się poważnie po komnatach dworu, kiedyniekiedy spoglądając ze smutkiem na małżonkę, która daremnie chciała ukryć łzy i łkanie, jakie nią wstrząsało; cały dwór był smutny i posępny, jakby nad nim ołowiana zaciężyła chmura. Nasza podczaszanka szukała pociechy w modlitwie; pokrzepiona tym chlebem dusz pięknych, wstała z klęcznika jakąś dziwną przejętą otuchą, i choć jej było także smutno i żal serce ścisnąć, to przecież szeptał jakiś głos wewnętrzny: „Nie on nie zapomniał, on nie mógł zapomnieć“.

Zmrok już zapadał; stary sługa wnosił światło do komnaty, gdzie się gromadzili członkowie rodziny i rezydenci, oświecone postacie, którzy w domu podczaszego znaleźli przytułek. Chociaż wesoły ogień buchał na kominie, przyskajac iskrami, chociaż sam podczaszystarał się trochę rozweselić zgromadzonych opowiadaniem o pomyślnem powodzeniu sprawy, to przecież było ciasto i duszno w komnacie, a wszyscy jacyś zwarzeni i smutni.

Do ogólnego tego smutnego nastroju przyczyniła się i burza, która szalała na dorze. Na świecie bowiem, zrobiło się strasznie, jakieś się wichry rozwęły przeraźliwie jęcząc, tłukąc w okna tumanami śniegu, niby jakiś chór pogrzebowy, ciągnęły z żalobnym odgłosem przez szerokie pola, kręcąc bałwanami śnieżycy, zasypując drogi, wznosząc prawdziwe zaspę gór i doliny widm.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





### † Sp. Roman Brzezowski.

Ciężką stratę ponosi znów społeczeństwo nasze, polskie na kresach, a zwłaszcza kolonia polska w Morawskiej Ostrawie i okolicy przez śmierć jednego z najlepszych swych członków inż. górniczego Romana Brzezowskiego, który jako nadporucznik rezerwy, odznaczony niedawno za męstwo „Signum laudis” zginął bohaterską śmiercią w walce pod Jaworowem i pochowany został dnia 14-go czerwca w Rogoźnie.

S. p. Roman Brzezowski odznaczał się niezwykle mi zaletami charakteru i dlatego Ignęły do niego sercem wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek z nim styczność. Urodzony w roku 1880 w Morawskiej Ostrawie — tu skończył szkoły średnie, poczem po dwuletnich studiach na technice we Wiedniu, przeniósł się do Leoben na akademię górniczną. W krótkim czasie pozyskał wśród licznych kolegów taką miłość i szacunek, że czytelnia polska w Leoben wybrała go swym prezesem. Tę zaszczytną, a trudną w danych warunkach godność piastował śp. Brzezowski przez 3 lata i zapisał się w pamięci licznej rzeszy kolegów, jako nieoceniony przyjaciel, doradca i kierownik tej młodej rzeszy.

Po ukończeniu studiów objął w roku 1908, jako inżynier górnicy, posadę przy wltkowickiem gwarectwie węglowem i kolejno pełnił służbę na szybie Teresy w Polskiej Ostrawie, następnie na szybie Karoliny w Morawskiej Ostrawie, a ostatnie trzy lata na szybie Ludwika w Wltkowicach.

Lubiany równie od przełożonych, jak i od podwładnych, umiał zaskarbić sobie powszechną życzliwość i szacunek. Znany w szerokich warstwach miejscowej kolonii polskiej, brał czynny udział w pracy społecznej i narodowej i na tem polu zasłużył na szczerą wdzięczność społeczeństwa polskiego i narodu, który traci w nim członka tak świetnie rokującego nadzieje. Żal każdego życia młodego — a stokroć większy żal tak zacnego syna, kolegi i obywatela!

Cześć Jego pamięci, która wśród nas nie zaginie!

## W stolicy Rumunii.

Pod powyższym nagłówkiem zamieszcza „Kurier Pozn.” następującą ciekawą korespondencję z Rumunii: Po ostatniej wojnie bałkańskiej liczy Rumunia: 7 i pół miliona mieszkańców na obszarze 139.000 km. kw. (przybytek — 7650 km. kw. i 250.000 mieszkańców). W jej stolicy wychodzi kilkadziesiąt pism codziennych, które utrzymują się same, a niektóre robią nawet dobre interesy. Świadczy to o wielkiem zainteresowaniu się ludności sprawami publicznymi i w zestawieniu z naszą prasą budzi dość smutne refleksje. Jako argument przykry, ale usprawiedliwiający, przytoczyć można, że ziemię polską zjednoczoną nie są i własnego życia politycznego nie posiadają.

Z pism drukowanych po rumuńsku, najpoczytniejsze są bezpartyjny „Universul” i radykalny „Adverul”, które służą polityce koalicji, ściśle mówiąc mają wyrażną orientację rosyjską. „Universul” był w dodatku pierwszą w Bukareszcie próbą wydawania dziennika takiego, pięciocentymowego, na czem wydawca zrobił majątek. Po stronie Austrii i Prus stoi „Slava” oraz „Moldava”, organ szanowanego powszechnie, historycznego przywódcy konserwatystów rumuńskich, Carpa, który pod tym względem jest w zupełnej niezgodzie ze swym słownictwem.

Do cudzoziemca na pierwszy plan wysuwa się jednak objaw, który spotykać będzie następnie we wszystkich siólicach bałkańskich: mianowicie wydawanie — przez różne grupy polityczne organów swoich w języku francuskim. Są to pisma drogie (cena numeru wynosi przeważnie 15 cent.), ale bynajmniej nie wydawane tylko dla zagranicy, lecz czytywane i prenumerowane — przez mieszkańców miejscowych; pośrednio tylko — dzięki językowi pisma — osiągany bywa cel informowania Europy, co w danym kraju myślą i robią.

Pism takich w Bukareszcie jest cztery: „L'Independence Roumaine”, organ stronnictwa liberalnego, a więc półurzędowy, stronnictwo to bowiem dzierży obecnie



Oficer kozacki objaśnia generałowi sytuację.



władzę, „La Politique“, konserwatywna, „La Roumanie“ konserwatywno-demokratyczna, organ głośnego polityka, Take Jonescu, wreszcie założony zbiorowo przez ambasady państw bałkańskich, „Journal des Balcan“, usiłujący rozwiązać kwadraturę koła: Pogodzenie sprzecznych interesów stałych współzawodników. W pismach tych z natury rzeczy bardziej dostępnych dla Polaka, zabierali głos w naszej sprawie: w „La Politique“ hr. Ignacy Korwin Milewski, w „La Roumanie“ p. Antoni Żwan, nie licząc głosów Polaków miejscowych dla których dostępne są i pisma, pisane w języku rumuńskim. Prócz tego w „Independence“ Roumaine“ znalazłem obszerny artykuł o zniszczeniu Królestwa, wydrukowany z „Gazette de Lausanne“, oparty na obliczeniu Centr. Komitetu Obywatelskiego i inspirowany oczywiście przez Komitet lozański.

Fakt istnienia tylu pism francuskich nie tylko w Bukareszcie, ale i w innych stolicach bałkańskich nasuwa myśl, czy nie byłoby pożytecznem i pożądanem wydawanie pisma polskiego. Mogłoby spełnić swoje zadanie pod warunkiem jedynie, że nie byłoby specjalne wydawane dla zagranicy, ale jak każde inne pismo zwracałoby się tylko do społeczeństwa polskiego. Gdyby takie pismo samo utrzymać się nie mogło, spełniłoby ubocznie i pośrednio bardzo ważne zadanie informowania cudzoziemców o sprawie polskiej. Dopiero znalezienie się w środowisku językowo zupełnie obcym otwiera oczy na konieczność takiego okna do Europy.

Wyraźne nawet dla powierzchownego obserwatora powodzenie materialne prasy rumuńskiej nasuwa od razu pytanie, jaką w niej rolę odgrywają Żydzi, których w Rumunii jest jak wiadomo, ilość dość znaczna. Otóż ku wielkiemu zdziwieniu, stwierdzić trzeba, że znaczenie ich w prasie jest bardzo małe, pomimo to, iż w mniejszych miastach prowincjonalnych Żydzi stanowią zupełnie ten sam żywioł, co w Królestwie pod względem gospodarczym tylko, bo praw politycznych nie posiadają. Żydzi są poddany rumuńskimi, obowiązani do płacenia podatków i dawania rekruta, ale nie

obywatelami. Do uzyskania obywatelstwa rumuńskiego potrzebny jest dla każdej jednostki (względnie rodziny) osobny akt prawodawczy, czyli uchwała obu izb, zatwierdzenie króla i promulgowanie w zwykłym porządku.

Na 300.000 Żydów w Rumunii zaledwie kilka tysięcy posiada prawa obywatelskie, uzyskują je jednostki, bardzo ustosunkowane; dość znaczna ilość Żydów uzyskała prawa obywatelskie po wojnie 1877-78 roku za udział w walkach; nadzieje podobne, związane z wojną ostatnią, zawiodły. Dzięki takiemu postawieniu sprawy, nie ma w Rumunii ani filo- ani antysemitów, jest tylko zwykła walka gospodarcza, przeważnie w miastach prowincjonalnych.

## Studja geograficzne.

Przed kilku laty mój dawny kolega szkolny Hilarjusz, po dłuższej nieobecności w Poznaniu opowiadał mi pewnego dnia swoje wrażenia z wycieczki do Paryża, który odwiedził po raz pierwszy w życiu.

Zapytałem go w toku rozmowy, czy zatrzymywał się w Belgii?

— Jako w Belgii? — zdziwił się Hilarjusz — przecież jeździłem do Francji, nie do Belgii.

— Więc jechałeś do Paryża przez Szwajcaryę?

Hilarjusz zamyślił się, aż nareszcie rzekł:

— Wczesnym rankiem w Berlinie wsiadłem sobie do D-cugu, komunikacji bezpośredniej z Paryżem... jechałem prędko i wygodnie... śniadanie w wagonie restauracyjnym, nawiasem mówiąc wcale dobre... potem drzemka... przed wieczorem wyborny obiad... następnie znów drzemka... nie masz pojęcia, jak mnie usypia jazda koleją... Tego samego dnia wieczorem ubudziłem się na dworcu w Paryżu.

— Z tego wynika, że jechałeś drogą najkrótszą, więc przez Belgię.

— Aha! Aha!... zawołał Hilarjusz — teraz przypominam sobie... w jednym miejscu, gdy pociąg się zatrzymał, mówiono, że to granica belgijska... Nawet odbyło się coś na kształt rewizji... Masz rację — jechałem przez Belgię, ale wyszło mi jakoś z pamięci... Zresztą może sobie przypominasz z czasów szkolnych, że do geografii zawsze czułem odrazę.

W tych dniach odwiedziłem Hilarjusza. Po zwykłych powitaniach, dawny kolega poprowadził mnie do jednego z pokojów swego rozległego apartamentu, mówiąc:

— Pokażę ci moją pracownię strategiczną.

— Wszedłszy, stanąłem zdumiony! Na wszystkich ścianach, na stołach i stolikach mapy... Flandrya, Francja, osobno i razem, Galicya i Królestwo Polskie także osobno i razem, Niemcy i Austria również razem i osobno, państwa Bałkańskie, półwysep Gallipoli, Azja Mniejsza, cały teatr wojny, cała Europa, a na środku wielki globus; słowem żaden uczony geograf nie mógłby się pochwalić zbiorem wspanialszym.

— A co? a co?... — z dumą zapytał mnie Hilarjusz.

— Widzę mój drogi; że pogodziłeś się z geografją.

— Przepiękna nauka! — z zapalem zawołał Hilarjusz. Nic bardziej zajmującego niema na świecie... Bo zastanów się, proszę, co dawniej inteligent powinien był wiedzieć z geografii? To, że istnieje Karlsbad, Maribad, Kissingen, Piszczany, Zakopane, Nałęczów, So-



Powieszony za strzelanie do austriackich patroli w Osieku.



poty, naturalnie Berlin, Wiedeń, Paryż, o tyle, o ile Londyn, no i jeszcze kilka innych miejscowości... 'A dziś, co się wie?... Że jest Hartmansweilerkopf... wprawdzie można się tam udławić, ale jest... dalej Eparges, Ypres... komu dawniej byłoby przyszło do głowy jakiego Ypres?... Albo Dukla, Użok, bądź Łupków... Sundańskich lub Kawaj?... Fontaine Madame... Las Le Pretre Ardeński... dziś człowiek nawet lasy francuskie umie na pamięć... Albo Nida i Rawka (w miejscu tem Hilaryusz zniżył głos). Kto z nas kiedy myślał na sergo o jakiejś Nidzie, lub Rawce?... Takie to, podobno wązkie i krótkie...

Zaczerpnąwszy oddechu, Hilaryusz wziął ze stołu ogromny zwój i rozwinąwszy, pokazał mi but.

Włochy. Zaraz rozpocznę je studyować. Powiedz mi, bo wy tam w redakcyach powinniście wszystko wiedzieć... Czy Hiszpania i Portugalia ani dadu?

Rozpostarłem ręce.

Mam! Na wszelki wypadek, mam!... Tylko za-  
wieścić...

I Hilaryusz rozwinął drugi rulon; była to mapa Hiszpanii i Portugalii...

Ba, gdyby zechciał — westchnął — poznałbym gruntownie całą Europę... Ale oaz nie zechciał prawda?...

Ostatnie pytanie zadał mi Hilaryusz tonem człowieka, który całem swoim jestestwem pożąda odpowiedzi twierdzącej, więc, zdjęty współluciem, rzekłem:

— Nie stanowczego nie da się w tym razie powiedzieć, nie zważywszy obecne zakłócenia międzynarodowe, wszystko można przypuszczać...

Za ten promyk nadziei Hilaryusz uścił mnie z całego serca.

### Humor.

Do restauracyi w Warszawie wchodzi gość i prosi o obiad. Zanim podano mu zupę, gość po cichu konferuje z kelnerem o dostanie kieliszka wódki lecz t n jest niebłagany.

— „Nie można, sprzedaż jest wzbronioną“.

Gość zrezygnowany zabiera się do zupy, gdy oto kelner podchodzi do niego i mówi:

— „Proszę pana do telefonu“.

Gość jest zdumiony. Tylko co przyjechał, nikt nie zna jego nazwiska i tu naraz do telefonu. Lecz kelner twierdzi z całą stanowczością, że jego a nie kogo innego wzywają.

Gość poddaje się idzie do budki. Wkrótce wychodzi stamtąd obcierając wąsy i pyta kelnera:

— „Czyby nie można jeszcze raz do telefonu?“

W rachunku figuruje następnie:

„Za dwa telefony rb. 1, za dwie przekąski 20 kop.

\* \* \*

Ona: »Prawda, Tośku, nigdyś jeszcze nie żałował, żeś się ze mną ożenił?«

On: »Prawda, ale nikt mi w to nie chce wierzyć!«

\* \* \*

— Widzisz pan tego milionera, co tam pojechał w kwipażu? ja go widziałem, jak bez butów chodził.

— Kiedyż to było?

— Byliśmy raz przed laty razem w kąpieli.

## Nadesłane.

**Aktualne broszury.** Nakładem Księgarni Podhalańskiej w Zakopanem ukazały się świeżo bardzo aktualne broszury p. t. Dr. J. S.:

Co to jest cholera i jak ją zwalczać . 20 h.

Tyfus plamisty i brzuszny . . . . . 20 h.

Dysenterya, jej istota i zwalczanie . . 20 h.

Desinfekcja (Odkazanie) . . . . . 20 h.

W broszurach tych, po popularnie utrzymanym wstępie o bakterjach wogółności, ich istocie i sposobach rozmnażania się przechodzi autor w części drugiej do omówienia istoty danej choroby, jej objawów oraz sposobu pielęgnowania chor. ch, środków zaradczych i lekarskich. W części trzeciej traktuje o desinfekcyi, sposobach jej przeprowadzania i środkach odkażających.

Całość tych broszur utrzymana w tonie popularnym, a przecież ściśle wnikającym w istotę rzeczy, rzeczy, przy niskiej cenie po 20 hal. za egzemplarz, przedstawia się bardzo dodatnie i czyni poleceniu godnemi.

Szczególnie obecnie polecić je trzeba każdemu, komu zdrowie własne i bliznich leży na sercu.

**Każdy Legionista w polu walki otrzyma bezpłatnie przez jeden miesiąc Ilustr. Przegląd Tygodniowy**

Zgłoszenia:

Morawska-Ostawa, ulica Johanny'ego 1. 5.

## Inserować

należy tylko w tych pismach, które ze względu na ich wielki nakład, przynoszą korzystny rezultat. Jeżeli się inseruje

## W ILUSTROWANYM PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM

wychodzącym w 14.000 egz. apeluje się temsamem do największego okręgu przemysłowego. Nie

## potrzeba więc

ogłaszać w innych pismach i narażać się na niepotrzebne wydatki, gdyż pismo nasze stoi tak pod względem nakładu, jakoteż i wyposażenia na pierwszym miejscu. Wystarczy zainserować

raz jeden tylko aby się przekonać o korzystnym rezultacie

i w przyszłości stale u nas inserować. Numera próbne, oraz obliczenia załatwia się bezzwłocznie.





Angielsko-francuski magazyn prowiantów dla wojsk w Dardanelach, na wyspie Lemnos

mały pewnej wdowy chodzi niesłychanie błady, zamyślony i ponury. Ten i ów zapytywał chłopca, ogólnie lubianego co mu dolega. Po wahaniu dłuższemu chłopiec odpowiada, że boi się wielkiej wojny europejskiej, która zbliża się z wszelką pewnością. Gdy sąsiedzi z uśmiechem pobłażliwym zapytywali w dalszym ciągu, kiedy ma ta wojna wybuchnąć, chłopiec oświadczał kilkakrotnie, i to z naciskiem wielkim, że termin wybuchu jest sierpień roku 1914.

Wojna przyszła i przyszła istotnie w sierpniu 1914 roku.

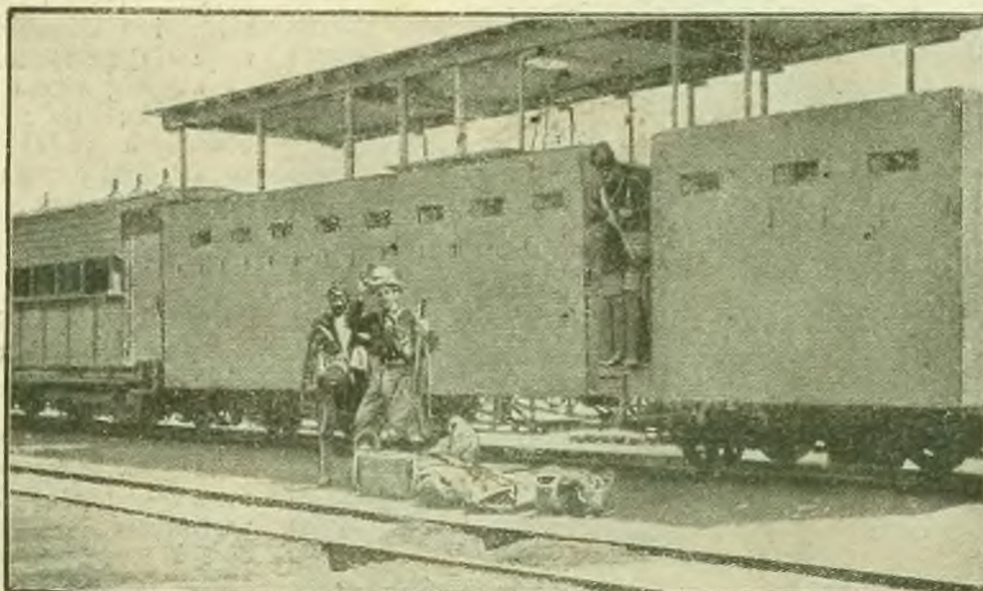
Po paru miesiącach sąsiedzi przypomnieli sobie

o proroctwie małego chłopca. Jedni zartem, drudzy seryo zaczęli go rozpytywać, czy nie wie, kiedy ta wojna się skończy. Na to chłopiec — jeszcze bardziej zamyślony i jeszcze bardziej ponury — odpowiadał stałe:

— Wiem kiedy wojna się skończy, ale nie powiem!

Wreszcie matce udało się wydobyć od chłopca straszną tajemnicę. Ze łzami w oczach zawiadomił matkę, że wojna skończy się w dwa miesiące po jego śmierci.

Przed jakimś czasem chłopiec umarł. I teraz w całych Niemczech południowych i Szwajcarii od miasta



Angielski pancerny pociąg „Simba” we wschodniej Afryce.





Anglicy takimi działami uzbrają swe statki handlowe.

do miasta, od wsi do wsi biegnie wieść, że wnet kończą się dwa miesiące od czasu, kiedy ten młody prorok zamknął powieki.

**Ceny żywności w obleżonym Przemyślu.** Pielęgniarki Czerwonego Krzyża, siostry Adela Steinmüller, Marya Kotral i Anna Kurz, które po dziesięciomiesięcznym pobycie w Przemyślu przybyły obecnie do Wiednia, podały w „Reichspost“ następujący szczegółowy cennik rozmaitych potrzeb i artykułów żywności w Przemyślu. Jest to najdokładniejszy z dotychczasowych spisów.

Otóż zapalki, wyrabiane w „fabryce“, którą zaadaptował pewien inżynier, służący w wojsku, były bardzo drogie, a mianowicie płacono za pięć zapalek 20 halerzy. Mimo to nie ustawał popyt na zapalki. Pieniądzy było dosyć, to też spadły ogromnie w wartości, natomiast jak o tem donosiliśmy, rozwinął się handel zamienny, jakby w zamierzchłych czasach. I tak, pewna wieśniaczka za dwie kury otrzymała 30 kilogramów ziemniaków, 5 kilogramów ryżu, 5 kilogramów bobu, 3 kilogramy grochu i 50 kilogramów mąki. Za małego wieprza zażądał właściciel 200



Naczelný wódz armii tureckiej Dżemal Pasza (x) w czasie przeglądu pewnego pułku, odchodzącego na front.





Z walk zimowych w Karpatach.  
Niemiecki patrol na wysuniętej pozycji.

koron, zgodził się wreszcie na 110 koron gotówką, flaszkę rumu i 100 papierosów „Dunaj”. Oczywiście za rum, a zwłaszcza papierosy, otrzymał później bajorńskie sumy. Kawałek kielbasy końskiej, długości 12 centymetrów, kosztował 2 korony. Bochenek chleba „komiśnego” kosztował 4—6 kor. W dniu 29 stycznia żądano za kurczę 40 koron, za kaczkę 30 koron, za indyka 60 koron. Kilogram cukru kosztował 15—16 koron, a wreszcie 24 kor. Mięso wołowe kosztowało początkowo 4 korony za kilogram. 100 Za kilogramów żyta płacono 280 koron, za 100 kilogramów ziemniaków ku końcowi stycznia 50 koron, a dnia 4. lutego 70 koron. Jajo kosztowało 21. stycznia 50 halerzy, dnia 4. lutego 70 halerzy, później 2 korony. Za prosię, wagi około 4 kilogramów, otrzymał wieśniak 20 koron i... konia. — W środku lutego sprzedawano drób na wagę, a mianowicie za 1 dekagram 40 halerzy. Rosół sprzedawano na łyżki, żądając za 1 łyżkę 20 halerzy. Karty do gry kosztowały 150 koron. Za stare kopiały, płacili spekulanci 10—20 koron i wyrabiali z nich bibułki do papierosów. Z końcem lutego ustał wszelki handel. Nie było czem handlować. Z początkiem marca chorzy w szpitalach otrzymywali końskie mięso. Poszukiwane bardzo były koty, które przyrządzano „na dziko”, jak zające.

**Przyczynki do wianuszka kultury.** Za „Wied. Kur. Pol.” przytaczamy następujące notatki:

Przykry fakt. Pan W. K. urzędnik jednej z galicyjskich finansowych instytucji podaje nam do wiadomości następujące zajście, jakie spotkało onegdaj jego i dwu jego towarzyszy. „Dnia 31 maja b. r. wsiedliśmy do tramwaju Nr. 80 kursującego na przestrzeni „Lusthaus — Sophienbrücke” rozmawiając po polsku o rzeczach prywatnej natury.

Tym samym wozem jechało dwóch Wiedeńczyków z wyglądu i odzienia sądząc robotników lub stróżów kamienicznych. Jeden z nich usłyszawszy, że rozmawiamy po polsku, począł czynić różne apostrofy do nas, słyszeliśmy jak z ust jego padały usławicznie słowa „Flüchtlinge”, „Polen” itd. treści jednak jego rozmowy nie rozumieliśmy, gdyż mówił skrajnym dyalektem wiedeńskim. Zachowaliśmy się dalej wobec niego obojętnie. Na rogu ulicy Erdbergerstrasse obaj Wiedeńczycy wysiedli. Jeden z nich wysiadając zwrócił do nas zaciśniętą pięść mówiąc: „Sie verfluchte polnische Hunde”. Czując się obelgą boleśnie dotknięci wysiedliśmy za nim z tramwaju i zażądaliśmy by nam podał swe nazwisko. Gdy tego uczynić nie chciał poszliśmy za nim. Spotkawszy po drodze policyanta Nr. 983, poprosiliśmy go, by zażądał od owego napastnika nazwiska, gdyż zostaliśmy przez niego obrażeni i chcemy szukać zadośćuczynienia na drodze sądowej. Na to tenże podniesionym głosem i niegrzecznie do nas się odezwał: „Das geht mich gar nicht an, das ist eine Privatsache, übrigens gehen Sie auf die Wachstube, dort wird man Ihnen helfen”.

W obronie naszych praw. Znowu musimy niestety podać do publicznej wiadomości następujące zdarzenie, świadczące aż nader dosadnie o „gościnności” niektórych Wiedeńczyków względem Polaków: W niedzielę dnia 13 b. m. około godz. 7 wiecz. wracało liczniejsze polskie towarzystwo, a w tem wybitne jednostki Polonii wiedeńskiej, tramwajem Nr. 37 z wycieczki na Kahlenberg. Kilku uczestników tej wycieczki, stojąc na platformie, zabawiło się rozmową

W obronie naszych praw. Znowu musimy niestety podać do publicznej wiadomości następujące zdarzenie, świadczące aż nader dosadnie o „gościnności” niektórych Wiedeńczyków względem Polaków: W niedzielę dnia 13 b. m. około godz. 7 wiecz. wracało liczniejsze polskie towarzystwo, a w tem wybitne jednostki Polonii wiedeńskiej, tramwajem Nr. 37 z wycieczki na Kahlenberg. Kilku uczestników tej wycieczki, stojąc na platformie, zabawiło się rozmową



Wielki książę rosyjski Michał Aleksandrowicz ze swoim sztabem.



— oczywista w języku ojczystym. Wtem zwraca się do nich dwóch Wiedeńczyków, prawdopodobnie z klasy mieszczańskiej i w tonie ostrym, wyzywającym oświadcza, iż w Wiedniu tylko po niemiecku rozmawiać wolno, a nie, jak się wyrazili, po „czesku“; skoro zagadnięci odparli, iż rozmawiają nie po czesku, lecz po polsku usłyszeli, iż tem bardziej nie mają prawa w tym języku w miejscach publicznych rozmowę prowadzić, przyczem posypały się wyrazy, jak „das polnische Gestindel“, „polnische Bagage“, „schmutzige Flüchtlinge“ i t. d. — Napadnięci zwrócili się do konduktora z prośbą, by wezwał policyanta któryby przynajmniej nazwiska „gości nnych“ Wiedeńczyków odebrał; ten jednak z całem spokojem odparł:

„Mnie nie obrazili, a jeśli pan czuje się dotkniętym, to szukaj pan sobie policyanta!“ — i dał sygnał do odjazdu.

Ograniczenia języka polskiego w obrocie pocztowym. Z kół czytelników napływają do naszej Redakcyi coraz liczniejsze skargi z powodu zakazu języka polskiego przy telegramach nadawanych w Wiedniu. Dotyka nas ten zakaz tem boleśniej, że dopuszczalny jest język francuski, angielski i włoski, a więc języki naszych wrogów, z którymi prowadzimy walkę na śmierć i życie. Jest w Wiedniu



### Z Królestwa Polskiego.

Grupa dzieci wiejskich pod Łowiczem w towarzystwie niemieckich sanitariuszy.



Niemieckie karabiny maszyn. do ostrzeliwania samolotów.

200.000 wychodźców polskich — ilość, która mogłaby tworzyć wielkie miasto — która zatem zasługuje już swoją powagą na uwzględnienie, pomijając względy praktyczne, a mianowicie trudność dla wielu porozumiewania się w innym, jak polskim języku. — Z Cielowca (Klagenfurt) donosi nam znów jedna z naszych czytelniczek, że tam nie tylko depesze, ale co gorsza nawet listy w języku polskim są niedopuszczalne. Konfiskuje je stale cenzura udzielając „prywatnie“ rady pisywania po francusku, angielsku włosku lub czołby po hiszpańsku. — Mamy nadzieję, że kompetentne polskie czynniki postarają się o jak najrychlejsze usunięcie wspomnianych zakazów tak krzywdzących polskich obywateli.

**Pioruny a brzoza.** Pisma amerykańskie utrzymują niejednokrotnie, że pioruny omijają brzozę. W stanie Tennessee ustalono się przekonanie, że piorun nigdy jeszcze w to drzewo nie uderzył. Indianie w czasie burzy chronią się pod jego opiekuncze konary. Z punktu widzenia nauki nie byłoby w tym nic dziwnego, wiadomo bowiem, że różne rodzaje drzewa posiadają rozmaite przewodnictwo elektryczne; wypadłoby więc przyjąć, że brzoza jest złym bardzo przewodnikiem. Podając ciekawy ten fakt, sprawozdania nie wyjaśniają wszakże, o jakiej brzozie mowa, co by i dla nas miało szczególne znaczenie; w Ameryce północnej bowiem, obok powszechnych u nas gatunków brzozy istnieją inne, wyłącznie amerykańskie.

**Znamienne ostrzeżenie.** Jak dalece Rosyianie od pierwszej chwili zajęcia Galicyi niebyli pewnymi utrzymania się trwałego w jej posiadaniu, świadczy ókólnik dyrektora sieci kolei galicyjskich na obsadzonem przez Rosyan terytorium p. Niemiszajewa. Wydał on w kwietniu b. r. polecenie, aby rosyjscy urzędnicy kolejowi udający się na posady do Galicyi, nie brali ze sobą swych rodzin.

**Dzieła sztuki w płomieniach.** W słynnym zamku historycznym Krenzenstein nad Dunajem pod Wiedniem, wybuch pożar, który dzięki pomocy straży pożarnej, przybyłej także z Wiednia, zdołano zlokalizować. Szkoda jest ogromna, między innymi padło ofiarą 1.000 miedziorytów po części Alberta Dürera i innych cennych obrazów.



Kapitan Mücke wysiada w Turcyi na ląd z wyratowaną z zatopionego statku „Emden“ chorągwią.



# Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza

5)

Syn nie odpowiedział na to nic — nie zaprzeczył. Psy, dwa duże kundły podwórzowe, opadły go, skakały na niego, skomląc radośnie, a on je głaskał z niewypowiedzianą czułością. — Dobrze psiska... pocziwe psiska... — mówił z goryczą, z żalem najwyższym. Między nim i ojcem stał kamienny mur zranionego uczucia: kamienny mur dumy.

— Zle wyglądasz... — rzekł ojciec szorstko, gdy weszli do pokoju. Pokój to był jadalny, obszerny i wielki, bo narożny, miał cztery okna: dwa od strony dziedzińca, dwa od ogrodu, typowy pokój takich dworów wiejskich swojskiej architektury, wygodnych i dostatecznie urządzonych; gdzie jednak, jak niegdyś w Czarnolasie, nie chcą wpuścić kasztelana, to jest pańskości, która by wymaganiami swymi zmieniała ład spokojnego i pracowitego istnienia. Wszystkie meble były tu białe lakierowane, co przy zielonem obiciu w białe kwiaty i błyszczącej, dobrze wywoskowanej posadzce jesiennej, dawało całości wygląd niezmiernie wasoły i schludny. Nad lustrem, między oknami, od strony dziedzińca, zawieszony był wieniec z ostatnich dożynek; w szafce czarnej, malowanej w złote kwiaty, zapewne starej gdańskiej roboty, umieszczony był w rogu jeden zegar, którego gank regularny miał w sobie coś poważnego i jak gdyby nakazującego. Zdawało się wśród panującej tu ciszy, że słychać kroki czasu idącego w wieczność. Dwa okna od strony ogrodu były otwarte, więc światło ciągle wróbiło na akacji, rosnącej w pobliskim łąkcie wprowadzało tu ton inny z muzyki wiosny. Odzywała się i jaskółka, która miała gniazdko pod okapem dachu; czasem zarywała, jak gdyby melodyjnie, której jednak wydostać z piersi nie mogła, i wtedy ćwierkała smutno.

Won teżedy, której rabata ciągnęła się wzdłuż ściany domu, złączona z aromatami różnego majowego zieleń, napływała do pokoju. Okna od dziedzińca, w które słońce właśnie bić zaczynało, były przesłonięte białymi rulonami, pokój napełniony też był białem, spokojnem światłem, i wchodzącemu tu, zwłaszcza zmęczonemu i boleśniami wzruszeniami targanemu człowiekowi mogło się to razem przedstawiać, jak raj ziemski. Takim też było wrażenie, któremu uległ Stanisław; znał on od dziecka każdy znajdujący się tu przedmiot, ale w chwili tej widział to inaczej, prawie jak rzecz nową.

— Zle wyglądasz... — rzekł mu w tej chwili surowy, ostry głos ojca. Niepokojnym wzrokiem obiegł on poblask, zmienioną twarz syna i uczył jakiś gniewny żal do niego, a razem nad nim. Poki Stanisław miał kapelusz na głowie, nie było tyle znać, że zeszczuplał, że rysy twarzy przeciągnęły się. Zrobił się bielszym i wydawał się przy tym młodszym; przypominał się ojcu chłopcem i to poruszyło mu serce. — Czyś ty chorował? — dodał łagodnie.

— Nie... miałem tylko wiele zajęcia w tych czasach — odparł Stanisław chłodno.

Serce miał ściśnięte. Mógłby był oprzeć bolące czoło o ten stół, przy którym posadził go ojciec i zapłakać, jak gdyby rzeczywiście był chłopcem. Won nie wiosennych kwiatów może, ale kątów rodzinnego domu, upajała go i rozbiegała. Wniesiono samowar i ojciec sam nalał mu herbatę, którą pił niemal chciwie, ale za kurczę

pieczone, które lokaj postawił przed nim, podziękował. Ojciec, patrzący nań ciągle z uwagą, ukroił mu świeżej, apetycznie wyglądającej babę, ale Stanisław pokruszył ją tylko i ojciec widział, że ledwo dotknął ustami.

— Jadłeś śniadanie w miasteczku? — zapytał.

— Nie... to jest piłem herbatę...

— Nie lubię, kiedy młodzi nie jedzą — rzekł p. Andrzej — trzeba jeść, aby mózg robić... Jest to zasada, której trzymałem się zawsze...

Człowiek ten był wkrótce zdrowy ciałem i duchem; słabość wszelka, zwłaszcza w mężczyźnie, gniewała go i nie rozumiał jej poniekąd. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, krępy, i jak lud mówi, przysadzisty, wywierał na ludzi, przy pierwszym na niego spojrzeniu, wrażenie siły. Włosy i zarost miał czarny, przy płci, często się zdarzającej u brunetów, bladej i białej, lekko żółtawej, jak kość słoniowa, oczy przecież były siwe — duże, długie, piękne oczy, które też miały w spojrzeniu głębokość i siłę, przenikającą ludzi, zwłaszcza, gdy patrzył w nich badawczo, lub surowo. Urodziwym nie był, ale głowa uderzała jakąś wyższością i niepospolitością — czemś potężnem, co wyglądało zwłaszcza z szerokiego, niezbyt wysokiego czoła, o bardzo szlachetnych rysach. Broda czarna, krótko przyszykana, już w kilku miejscach srebrzyła się białym włosem, zaczynał też trochę siwieć od skroni, ale to nie zdawało się bynajmniej pozostawem starości, bo włosy, które też krótkie nosił, były gęste i obfite; siła męskiego wieku widoczną była we wszystkim.

Zachowanie się syna zaczynało go teraz drażnić i udręczać. Podejrzewał go, że jest chorym i niepokój ojcowski kłół go w serce. — Na wzruszenia karciarza, na noce bezsenne spędzane ma dość sił i zdrowia, ale zasłużony wymiar sprawiedliwości czyni go chorym... myślał, hurzał się w sobie i patrząc na wybladłe oblicze Stanisława. Nic sobie nie wyrzucał, bo zasada, według której postępował, była w nim niezachwiana, ale bolał i czuł, że niema na to rady — że ta boleść musi wpleść się w jego życie. Energia jego natury stawiała temu opór w gniewnem podrażnieniu.

— Czy widziałeś w miasteczku nowy parkan koło ogrodu proboszcza? — zapytał syna, aby coś mówić. Patrzył na jego delikatne, piękne ręce z długimi palcami, a i to go gniewało. Jego ręką była inna. Starannie też utrzymywana, szersza była przecież i krótsza, porastał ją przyletem włos czarny. Znać było, że może ujmować silnie i trzymać mocno.

W tej chwili ktoś uchylił drzwi i postać w sukmanie siwej stanęła w progu. P. Andrzej nie miał żadnego rządcy, żadnych ekonomów; na wszystkich trzech folwarkach gospodarował sam, jedynie przy pomocy włościan, których sam też sobie kształcił z miejscowych ludzi i trzymał tylko jednego pisarza do pomocy w prowadzeniu rejestru i załatwianiu drobnych spraw wójta gminy, którym też był sam. Sąsiedzi nazywali to skąpstwem; on przecież trzymał się tu zasady, która miała w sobie rację obywatelską i była uczciwą ze względu na lud. Kiedy mu mówiono, że dla lichy sumki kilkuset złotych narażają się na mnóstwo przykrości, odpowiadał najpierw, że niema na świecie żadnej sumki lichy, bo nawet grosz nierzadko waży wiele dla tego, który go nie posiada, następnie dodawał, że nie samymi karmelkami człowiek żyje i że polykanie goryczy bywa nieraz obowiązkiem. Ale to przykładanie się osobiste do wszystkiego w swoim zakresie, czyniło go często niewolnym, i teraz tak się stało. Karbowy przychodził mu powie-